

WILKOŃSKA JOLANTA

OBRĄCZKA



JELENIA GÓRA 2009

Był sobie Król, Był sobie Paź I była też Królewna,
Żyli wśród róż, Nie znali burz, Rzecz to zupełnie pewna!
Lecz srogi los, Okrutna śmierć Przypadła im w udziale,
Króla zjadł pies, Pazia zjadł kot, Królownę myszka zjadła...
Lecz żeby Ci Nie było żal, Dziecino ma kochaana,
Z cukru był Król, Z piernika Paź, Królewna z marcepana....

To mi śpiewała moja Babcia – i wyobrażałam sobie, że Królem był mój Tatuś, Paziem – moja Mamusia, a ja jestem Królewną. No, bo jakże inaczej mogłam myśleć – ja, jedynaczka, kochana przez Rodziców, przez Babcie Wikcie, przez Nianię Stasiową...? Żyjąca w dobrobycie i wśród pięknych zabawek – to był mój świat dziecięcy.

Pamiętam, że na lato wyjeżdżałam z Mamą albo do Krynicy Gorskiej, albo w późniejszych latach, gdy zasmakowałam pływania w morzu, do nadmorskich kurortów. Mama wynajmowała w pensjonacie pokój wraz z wyżywieniem, więc miałyśmy wolny czas wyłącznie dla siebie – na spacer, naturalnie na plażę, gdy byłyśmy nad morzem i na pyszne podwieczorki w kawiarni.



Jakieś dwa tygodnie przed powrotem do domu wstępowałyśmy do Cioci Tosi do Zegrzynka, gdzie od wielu lat wynajmowała willę w pobliżu rzeki Narew i tam

Wejście do domu

zapraszała przyjaciół z Warszawy. Tam też dojeżdżał Tatuś na parę dni, a potem wracaliśmy razem, najczęściej samochodem.

Tam, u Cioci, było nadzwyczaj wesoło, szczególnie po obiedzie całe towarzystwo „wylegało” na przybrzeżną łąkę i rozsiadało się na leżakach i na kocach – zarówno goście Cioci, jak i znajomi z sąsiednich willi. Pamiętam dwie piękne panie, które dołączały do naszego grona, a były jak z obrazka – wysmukłe amazonki na kasztankach i z olbrzymimi czarnymi dogami. Śmiechu i różnej zabawy było, co nie miara i dla dorosłych, i dla nas, dzieci. Naturalnie przynoszono nam podwieczorek, który często jedliśmy przy rozpalonym ognisku... i dopiero zachód słońca, odbijający się złościście w wodzie i zbliżający się czas kolacji przypominał o powrocie. W tamtych latach 30-tych, ub.

Stulecia lato było słonecznym latem, zima – puszystą śniegiem zimą, a jesień kolorową paletą.

Gdy wspominam tamte słoneczne dni u Cioci Tosi w Zegrzynku, wraca też wspomnienie o panu doktorze Centnersferze, który bardzo mnie lubił i chętnie się ze mną bawił. Był on „duszą towarzystwa” i sympatią wszystkich – lubiany za dowcip, wesołość i za serdeczność; pan około 50-tki, z czarnymi kędzierzawymi włosami, śniady, niewysoki, o przytulnych ramionach, w których się „tonęło”, gdy obejmował. Po latach dowiedziałam się, że zginął w Getcie Warszawskim, że chciano go ratować ucieczką z kraju, a on odmówił, bo uważał, że ponieważ jest Żydem, jego miejsce jest wśród Żydów. Również smutek ogarnia, że nic nie zostało z drewnianych z ganeczkami willi – i tej Cioci, i tych sąsiednich, – bo spłonęły w czasie wojny, że ostał się tylko murowany dworek Jerzego Szaniawskiego, znanego literata, już w tamtych latach w podeszłym wieku i również zaprzyjaźnionego z moją Ciocią Tosią.

Natomiast z uśmiechem wspominam powojenne gościny u Cioci Tosi na Stalowej 25 w Warszawie, zawsze pełne serdeczności i... smakołyków, mimo trudności tamtych czasów. Nawet nasz terier Tobik uwielbiał tam bywać, bo Ciocia dla zabawy ustępowała mu swoje miejsce przy stole i częstowała go ciasteczkami. No, a gdyśmy go nie brali ze sobą, a on usłyszał przed wyjściem słowo „Ciocia”, to urządzał swego rodzaju „odwet”. Wracając zastawaliśmy pogryzione wszystko, co się dało pogryźć, i nawet pobrudzoną podłogę, a on sam chował się pod



Dom

fotel i długo na nas ujadał. To była jego zemsta za „krzywdę jemu wyrządzoną”!

Dzisiaj już nie żyje ani Ciocia Tosia, doktorowa Kędzierska, ani bardzo religijna córka Ninka, ani syn Janusz – lotnik.

A powracając do bajkowego dzieciństwa, które trwało do rozpoczęcia II wojny światowej – to jakże nie wspomnieć uroków domowego ogniska czy to w Warszawie, gdzie się urodziłam, czy też w Łodzi. Przenieśliśmy się tam, bo Tatuś z ramienia rządu objął w Łodzi stanowisko dyrektora administracyjnego w Zjednoczonych Zakładach K. Scheiblera i L. Grohmana. Były one własnością niemieckich fabrykantów i właśnie, aby nie działa się krzywda polskim robotnikom, Tatuś miał mieć nad nimi pieczę.

Szczególnie mam utrwalone w pamięci lata trzydzieste, te w drugiej połowie, kiedy już mieszkaliśmy w Łodzi i zajmowaliśmy pałacyk któregoś z byłych fabrykantów. Jak na filmie widzę wewnątrz naszego mieszkania, jego ciepły koloryt, niebieskość mojego pokoju dzieciennego, zabawki, z których każda miała swoje miejsce, bo Tatuś raz tylko powiedział, że po zabawie mam sama układać je na miejsce, skąd wzięłam. A była to duża biała połka „trzypiętrowa”, na której układałam moje lalki i zabawki – mebelki: salonik z pięknie rzeźbionymi krzeselkami i z atlasowymi szafirowymi poduszeczkami, klasę szkolną z tablicą i ławeczkami wraz z siedzącymi laleczkami a także maleńką, porcelanową zastawę w „pokoiku jadalnym”. Dolną zaś powierzchnię zajmowały większe pluszowe zwierzątka – misie, pieski i duży, szary, z watą w środku, słoń – „przitulanka”.

Ci „mieszkańcy” parteru półki najczęściej byli moimi „pasażerami” zabawy w samolot lub statek, w których ja naturalnie pełniłam funkcję kapitana, a dywan na środku pokoju był pokładem, zaś położony okrągły taboret – sterem... A książki? Te leżały na specjalnym stoliku – białym, bo poza firankami i tapetą w niebieskie kwiatki, reszta była biała. Ale do czytania książek brakowało mi cierpliwości, więc wykorzystywałam do tego Mamę, która miała piękny dźwięczny głos i potrafiła obrazowo czytać... Siadałam przy Niej na małym taboreciku z łokciami opartymi na Jej kolanach i słuchałam wpatrzona w Mamę. Byłyśmy wówczas w dużym pokoju jadalnym; ten i sypialny Rodziców to były największe z 7 pokoi w naszym mieszkaniu. Jak Mama mówiła, to czwórka koni mogła w nich obrócić – taką dużą miały powierzchnię. I tak, w tymże jadalnym, poza dużym okrągłym, w dawnym stylu stołem, zajmującym środek pokoju i rozsuwanym w razie potrzeby dla 12 i więcej osób, znajdował się też olbrzymi „kilkupiętrowy”, pięknie rzeźbiony kredens z galeryjkami. W pobliżu niego był kącik z fotelikami i okrągłym stolikiem przy oknie. Tu lubiła siadywać Babcia Wikcia (Wiktoria Wilkońska) i szydełkiem wyczarowywać piękne serwetki. Nazywałam ją „babcią”, ale była „przyszywaną babcią” – Tatusia wujenką, samotną starszą osobą. Za czasów rozbiorów „za mężem” pojechała na Sybir, tam urodził się im syn Gucio, tam zmarł jej mąż i wówczas Babcia Wikcia wróciła z synem do Polski. Gucio wyrósł na pięknego chłopca; pamiętam go w mundurze lotnika, mam nawet zdjęcie, jak „tańczymy” – ja przy nim, malutka dziewczynka z wysoko podniesionymi rączkami...

Niestety Gucio zginął w pokazie lotniczym i został po nim tylko odłamek metalu z samolotu. Pamiętam ten drobiazg w drobnej dłoni Babci. Babcia Wikcia została

całkiem sama i wtedy Tatuś ją odnalazł i przywiózł ją do nas, a ja przylgnęłam do niej i byłam jej „pociechą”.

Skoro „jestem” w dużym pokoju, pragnę wspomnieć o zegarze mojej prawdziwej Babci, Mamy Tatusia, Eleonory z domu Hirschberg. Widziałam go wiszącego na ścianie na wprost mojego miejsca przy dużym stole w czasie posiłków. Biały „cyferblat”, wielkości deserowego talerzyka, wbudowany był w dużą złotą płytę kwadratową, okoloną ornamentem, a całość mieściła się w głębokiej złotej obudowie ze szkłem na wierzchu. Zegar był bardzo ładny i w dawnym stylu. Jak ja go pamiętam, to już nie „chodził” i Mama mi opowiedziała, dlaczego zatrzymał się na 25 minut po 16.00. Otóż o tej godzinie głośno pękła sprężyna, a Tatuś powiedział, że to chyba Babcia umarła! I tak też się stało! Jak tu nie wierzyć w przesady?! Zegar ten tułał się razem z nami schowany w kufierku, a gdy wreszcie mogliśmy go powiesić, to już go nie było! Mama komuś podarowała, a po latach zobaczyłam go na okładce „kolorówki”, wiszącego u kolekcjonera, profesora w Katowicach. Za dobrze pamiętam ten śliczny zegar, abym nie rozpoznała go wśród innych, nawet podobnych.

A opisując pokój stołowy, to muszę wspomnieć, że sąsiadował on z moim dzieciennym pokojem i w pobliżu moich drzwi stały przy oknach dwa głębokie fotele – dla Mamusi i Tatusia oraz stolik z dużym radiem. Tutaj było „moje” czytanie książek, tutaj Rodzice siadali po obiedzie, gdy Tatuś miał wolny dzień od pracy, czyli w niedziele i święta. To był i dla mnie miły czas, czas ciepła rodzinnego, z którego wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że jest i jak bardzo cenne zostaną te wspomnienia. Tatuś bardzo lubił audycje ze Szczepkiem i Tońciem, dwoma lwowskimi śpiewającymi dowcipniasami, więc siadaliśmy po obiedzie do posłuchania ich. A jak ich nie było, to sam nam śpiewał, a miał ciepły baryton i znał wiele arii z różnych oper i operetek. Sam za młodu chciał być śpiewakiem, ale Dziadek nie pozwolił, bo jak się wyraził: – „nikt z naszych przodków nie był cyrkowcem”! I tak Tatuś stał się inżynierem agronomem, jako że rodzina pochodziła z ziemiaństwa i ten kierunek studiów był dla Tatusia najbliższy. Te słoneczne popołudnia pamiętam też i z tego, że Tatuś będąc „Piłsudczykiem” i wychowany w duchu patriotycznym, wpajał we mnie, że: Bóg, Honor i Ojczyzna to są wartości na całe życie. I wierny temu pozostał do końca swego życia... Uczył mnie pieśni żołnierskich, Legionistów i patriotycznych. Gdy Tatuś siedział w fotelu, a ja stałam przy Nim, byliśmy „jednego wzrostu”! Obejmował mnie ramieniem i razem śpiewaliśmy. Pamiętam z bliska jego pogodną śniadą twarz, jego jasno piwne

oczy, jego uśmiech i piękne brzmienie głosu... Pamiętam też nasze wspólne kolędowanie, a „niebotyczna” wówczas dla mnie choinka stała w pobliżu kącika z fotelikami. Mama opowiadała, że przybraniem choinki Tatusz głównie sam się zajmował, zaś reszta domowników tylko mu podawała bombki, kolorowe łańcuchy, aniołki i inne cacka choinkowe, a on decydował, gdzie, co zawiesić! Nie żałował ani sił, ani czasu, po iks razy wchodził na drabinę, aby dostać się do górnych gałęzi, a przecież miał swoją wagę, bo aż 100 kilo, choć tego nie było po nim widać, bo był wysoki i postawny. I to się działo w tajemnicy przede mną, późnym wieczorem, w przeddzień Wigilii. Ja już spałam, a rano ... olśnienie! Naturalnie święta były tradycyjne, z siankiem pod śnieżnobiałym obrusem, opłatek rozpoczynał Wigilię i wreszcie po kolacji przychodziła pora na prezenty spod choinki, z niecierpliwością przeze mnie oczekiwane.

Jakże byłam wzruszona, gdy po latach, będąc już sama, przeglądając szkatułkę z Tatusia drobiazgami znalazłam „pawie oczko” choinkowe, które zrobiłam z kolorowego papieru prawdopodobnie będąc przedszkolakiem, albo trochę starszą dziewczynką. Zostawił na pamiątkę „dzieło” swojej ukochanej córeczki Linusi, bo tak mnie zdrobniale wówczas nazywano. Teraz to „pawie oczko” jest za szkłem na Tatusia dużej fotografii i postawionej przy Mamy zdjęciu...

Nie mogę pominąć moich imienin – a miałam je aż trzy razy w roku, bo tyle mam imion: Karolina, Natalia i Jolanta. Rodzice nazywali mnie Linusią. Karolinę wybrał mi Tatusz, bo to „rodowe”, Natalię nadała mi Mama, bo to imię zbliżone do prawosławnego, gdyż sama była tego wyznania i na imię miała Kira, a ja – przy Bierzmowaniu wybrałam Jolantę. W latach PRL -u nie pozwolono mieć tylu imion – tylko dwa, wg własnego wyboru i kolejności... Tak, więc jestem teraz Jolanta Karolina! Ale poprzednio wszystkie moje trzy imiona, również i urodziny - 24 listopada – stanowiły okazję do świętowania i... prezentów. Jest, co wspominać! Były to cudowne, pełne radości dni – Mama podpytywała, co bym chciała mieć, jaką zabawkę, ale tak „niezauważalnie” robiła „wywiad”, a ja – „mimoходом” podpowiadałam swoje pragnienie, jak np. porcelanową lalkę „Shirleykę” – wyglądającą i ubraną jak znana wówczas z dziecięcych filmów amerykańskich aktoreczka i w ten sposób pojawiały się nowe zabawki na białej półce... One też, gdy nastąpiły ciężkie, wojenne czasy, były towarem wymiennym za żywność..., więc „zasłużyły” na moją wdzięczność i wspomnienie!

Warto jeszcze wspomnieć o owocach, które chociaż były w domu, na co dzień, to poza tym, gdy szłam rano do szkoły – naturalnie do prywatnej żeńskiej Adeli

Skrzypkowskiej, gdzie obowiązywały dwa mundurki, letni i zimowy, a na berecie srebrny znaczek Szarotki – odprowadzana byłam przez naszą kucharkę Relę, wstępowałyśmy do kiosku „zieleniaka” na rogu naszej ulicy św. Emilii (a mieszkaliśmy pod 10-tką) i Piotrkowskiej, aby kupić mi banan do szkoły na dużą przerwę. Ponadto dostawałam od Rodziców na 2 ptysie po 20 groszy, które przynoszono na dużą przerwę w szkole. Czasami – o czym wiedziałam tylko ja – rezygnowałam z 1 ptysia, aby kupić fotki aktorów – najczęściej właśnie tej Shirleyki.



I w drodze powrotnej – już z babcią Wikcią – wstępowałyśmy na Piotrkowskiej do sklepiku „piśmienniczego” (a tam było – „mydło i powidło”) starego, małego i chudego Żydka w czarnym chałacie i z pejsami. Schodziło się po schodkach w dół – a on już mnie witał: „Ja coś dla panienki mam!” z tym charakterystycznym dla nich gestem dłoni...

Ten sprzedawca miał piękne fotosy artystów filmowych – małe i duże, no i wykorzystywał moje zainteresowanie sprzedając je... po coraz wyższej cenie! Ale miałam również „kieszonkowe”, więc kupowałam. I taki był początek mojego zbioru fotosów artystów filmowych! To hobby trwało u mnie przez lata. Niedawno okazały zbiór fotosów i programów filmowych oddałam do Muzeum Kinematografii w Łodzi. Jedyłą rzeczą, która była niespełniona, to rower! Bardzo chciałam mieć i nawet mam różne późniejsze z tym wspomnienia, ale wówczas nasz „nadworny lekarz” – p. Szwember (był lekarzem zakładowym w biurze Tatusia) odradził Rodzicom ten zakup uznając, że dziewczynce nie wypada mieć grube, muskularne łydki (!), które, jego zdaniem, są skutkiem jazdy na rowerze (!), no i z tego powodu nie kupiono mi tego upragnionego pojazdu!

Tamte lata – to rzeka moich słonecznych wspomnień...Niagara – to strumyk w porównaniu z nimi!

Dodam jeszcze, że mieliśmy też imieninowe tradycyjne – nawet ni prezenty, choć one również były! Mama uwielbiała hiacynty – więc dostawała ich kosz; Tata – białe konwalie i azalie, więc też one były różowe i czerwone, a dla mnie na stole, przy moim miejscu, zjawiały się niezapominajki. A poza tym jeszcze było coś pysznego! Teraz w ogóle tego nie spotykam w cukierniach: mam na myśli kosz pleciony z masy cukrowej w różnych kolorach, z girlandą kwiatów również „cukrowych”, a w środku... bajkowe

małe ciasteczka „ptifurki”, mówiąc fonetycznie – chyba 50 sztuk! Tata dostawał koszyk w zielonym kolorze, Mama w niebieskim, a ja różowym! Nie pozwalano mi jeść tego słodkiego kosza, tylko ciasteczka, a mnie właśnie nęciło ukradkiem skubanie słodkiej masy... Tradycja hiacynta na Mamy imieniny i urodziny (28 lutego) trwa do dzisiaj, a stawiam je przy Mamy fotografii.

Na Tatusia imieniny (7 marca) i na Nowy Rok przychodził wczesnym rankiem zespół z orkiestry dętej robotników z Tatusia pracy, którzy grali „sto lat!”, skoczne melodie no i składali Mu życzenia, a On zapraszał ich do naszego mieszkania na poczęstunek i słyszałam śmiech, dźwięczny głos Tatusia i ich wspólnie śpiewanie! Nie trwało to długo, bo robotnicy szli do pracy, a ja do szkoły, ale było to uroczyste rozpoczęcie Jego święta, czy też Nowego Roku, naturalnie wolnego od pracy. Tatuś był bardzo lubiany przez robotników, a On ich szanował i działał dla ich dobra; m.in. powstały różne sekcje zainteresowań, co teraz jest „normalką”, ale wówczas stanowiło to novum, tym bardziej na terenie fabryk stanowiących prywatną własność. I tak też powstało robotnicze przedszkole, sekcja kobiet, sekcja teatralna, w której robotnicy uczyli się aktorstwa i występowali na scenie dużej Sali widowiskowej z profesjonalnym sprzętem technicznym, też przez Tatusia założonej. A głównie zadbał o poprawę warunków mieszkalnych robotników i z pewnością również warunków ich pracy. Tatuś był energiczny, spokojny, bezpośredni, mądry, wykształcony i serdeczny dla ludzi, dlatego darzono Go sympatią i szacunkiem. A przy tym Tatuś był uczuciowy, bardzo się wzruszał, kiedy mu wręczałam na imieniny laurki przeze mnie rysowane, a później malowane, jak mówiłam wierszyki z życzeniami, nie przeszkadzało Mu, że z przejęcia zapomniałam słowa, a i tak uściskom Jego nie było końca. A wspominając łzy w oczach Tatusia, przypominam sobie, jak Mama opowiadała, że kiedyś na operze „Tosca” podczas sceny egzekucji Cavaradossiego ze zdziwieniem zauważyła, że Tatusiowi płynęły łzy z oczu – Jemu, tak zawsze opanowanemu!

Dzisiaj, po 70 latach, to rozumiem! To mój ukochany Tatuś już wtedy przeczuwał swoją okrutną śmierć! Bo tak właśnie zginął w 1939 roku!!! Tak, ...”okrutna śmierć im



Okna dzieciennego pokoju

przypadła” ..., a „srogi los” rozpoczął się z chwilą napaści na naszą Ojczyznę i rozpoczęcia II wojny światowej.1 września 1939 roku (piątek) mój bajkowy świat prysnął, jak rozpryskiwały się szyby w oknach w czasie bombardowania... Zaczął się nieznan

dotychczas strach, bo samoloty niemieckie przelatywały tuż nad naszym domem. Widziałam je olbrzymie z okien dziecinnego pokoju, nisko lecące nad długą przestrzenią łąki wprost na nas, a ryk motorów był paraliżujący. Łódź nęmano tylko nalotami, nie bombardowano miasta, bo większość fabryk była niemiecka, więc oszczędzano je dla siebie. Ale wtedy, kto to wiedział? Nalot po nalocie był nie do zniesienia! Szyby w oknach drżały, uszy „pękały” od wycia syren, ryku przelatujących bombowców i ta rozpacz, gdzie jest nasza obrona przeciwlotnicza, czemu pozwalają nam zagrażać!? Nie mieliśmy schronu, nie mieliśmy gdzie się ukryć! Byliśmy przerażeni, z każdego okna, a było ich wiele w obszernym mieszkaniu, wszędzie widziało się nadlatujące samoloty! Trzeciego dnia uciekliśmy z Łodzi samochodem służbowym Tatusia, dużym granatowym 6-osobowym Buickiem – do Warszawy. Mama, Tatuś, ja i dorosła córka kolegi Tatusia z pracy. Babci Wikci nie było z nami, bo jeszcze nie wróciła z letniego wyjazdu i więcej jej nie widziałam już. Reli też jeszcze nie wróciła z urlopu. Dom i nasze dwa piękne, ulubione puszyste koty zostały na łasce nowej pokojówki i Mama dała jej w prezencie srebrzystego lisa, aby nimi się opiekowała, a ona – doszczętnie nas okradła, co później się okazało i jeden z kotów zdechł w międzyczasie, właśnie moja ulubiona niebiesko-biała angora „Basia”, która była przy mnie od mojego urodzenia.

Jechaliśmy do Warszawy, bo sądzono, że Stolicy nie ruszą, że się obroni, że tam będziemy bezpieczni. Po drodze widzieliśmy tłumy ludzi z tobołami, pieszo i jadących wozami, a wszyscy zdążali w stronę Stolicy. Gdy dojechaliśmy do rozwidlenia się szosy na: zatłoczoną, ale krótszą do Warszawy i pustą, ale dłuższą, to zdecydowano, że pojedziemy tą pustą. Nie ujechaliśmy daleko, jak nad nami pojawił się niemiecki samolot i nie było wątpliwością, że my jesteśmy jego celem, bo kołował nad nami! Ale moja dzielna Mama nas uratowała! Kazała szoferowi zatrzymać wóz, wysiadła i pomachała chustką w stronę nadlatującego samolotu!!! Tatuś był przerażony tym, my też, a samolot ... odleciał i więcej nikt nas nie niepokoił aż do samej Warszawy!

Jak wiadomo, Warszawa przeżyła koszmar dywanowych nalotów i bombardowania, a ja z Mamą znajdowałyśmy się w centrum tego koszmaru, bo mieszkaliśmy w śródmieściu? No i doszła tułaczka po cudzych kątach, niepokój o Tatusia, który musiał opuścić Warszawę, tak jak ogłosił prezydent miasta Stefan Starzyński. U cioci Tosi na Pradze nie było już miejsca dla nas, gdyż inni znaleźli tam schronienie, więc dlatego musiałyśmy korzystać z różnych możliwości u znajomych, bo hotele były zamknięte. Mimo tego koszmaru miałyśmy szczęście, bo żyłyśmy! A ilekroć

wyprowadziłyśmy się z jakiegoś domu, to tam padały bomby i „rozpruwały” budynek doszczętnie! My zaś umykałyśmy śmierci...

Z różnych powodów musiałyśmy zmieniać miejsca zamieszkania, głównie z zagęszczania się mieszkania przez bezdomną rodzinę gospodarzy. Po raz pierwszy poznałam, co to głód, mimo że Mama miała, za co kupić żywność, ale sklepy były zamknięte, tylko pokątnie sprzedawano gliniasty brązowy chleb. A mięso dopiero zjadłam, gdy koń padł od przypadkowej kuli, chociaż był ukryty w bramie domu, w którym właśnie mieszkaliśmy – a i to z trudem Mamie udało się dorwać do tego kawałka mięsa wśród innych równie zgłodniałych lokatorów.

W mieszkaniu vis a vis Politechniki, którą do ostatka starano się zbombardować, ale jakoś przetrwała ataki, zastała nas kapitulacja Warszawy i pamiętam, że wszyscy płakaliśmy – mężczyźni też. W którymś kolejnym mieszkaniu odnalazł nas Tatuś, a ja Go nie wpuściłam do środka i zatrzasnęłam przed Nim drzwi! W obszarpanym „żebraku”, chudym i zarośniętym nie poznałam Tatusia! Wrócił z tułaczki spod granicy radzieckiej – pieszo! Naturalnie Jego samochód zarekwirowano z samego początku, wrócić do miasta Tatuś nie mógł, więc wyruszył na Wschód...

Wkrótce wróciliśmy do Łodzi, do domu. Najpierw Mama pojechała na „zwiady” i zastała w mieszkaniu niemieckich oficerów, puste szafy i pustą spiżarnię. Ponieważ Mama nie знаła niemieckiego, więc po francusku zarzuciła im kradzież! To byli oficerowie „starej daty”, więc znali francuski i zaskoczeni Mamy pretensjami domyślili się, że to pewnie wina pokojówki, co też okazało się prawdą! Pod wpływem ich „perswazji” wszystkie ubrania wróciły do szaf, a spiżarka częściowo się zapełniła. A było, czym, bo Tatuś przed naszą ucieczką do Warszawy zrobił „na wojnę” zakupy... nabywając workami: cukier, mąkę, suche kiełbasy, konserwy i nawet sztaby mydła.

Czekaliśmy na wieści od Mamy z Łodzi i jak tylko napisała, że można przyjechać, bo oficerowie „zapewniali bezpieczeństwo” (!) dla Tatusia, wróciliśmy do domu. Ale przedtem dodam, że te parę dni w Warszawie wyłącznie z Tatusiem – bardzo mnie zbliżyły do Niego. Gdy chodziliśmy po mieście – ja wreszcie z Nim pod rękę i podniesioną głową – to czułam się już dorosłą. Gwałtowne przeżycia tych paru tygodni przeistoczyły mnie z dziewczynki z bajki w panienkę świadomą rzeczywistości. Tatuś rozmawiał ze mną o poważnych sprawach, nie jak z dzieckiem i też słuchał, gdy i ja się wypowiadałam. Duma mnie rozpierała! Rozumieliśmy się! Przytoczę wydarzenie, którego nie zapomnę. Znajdowaliśmy się na placu Trzech Krzyży. Akurat zaczęli jezdnią

maszerować niemieccy żołnierze, śpiewając swoje „hei-li, hei-lo”... Było mało przechodniów, a widok wrogich żołnierzy, gromki ich śpiew i stuk marszu był nieznośny, więc stanęłam do nich tyłem, a Tatuś widząc to, zrobił to samo i spojrzeliśmy na siebie... Oczy Tatusia były poważne i długo na mnie patrzył, a twarz miał wzruszoną. Tak staliśmy, aż wojsko zniknęło z placu.

Gdy wróciliśmy do Łodzi, w naszym mieszkaniu oficerów już nie było, zostaliśmy sami i Tatuś nawet zaczął pracować. Panował pozorny spokój, ale czułam napięcie Rodziców, niepewność dnia, widziałam zatroskane Ich twarze, obawę, co będzie dalej... I stało się! Śmierć zajrzała nam w oczy, a przybrała postać dwóch żołdaków i cywila, którzy przyszedli 9 listopada 1939 roku aresztować Tatusia! Była pora obiadowa, mieliśmy właśnie jeść deser, ale nam już odechciało się wszystkiego! Tatuś wstał, ubrał się do wyjścia, pożegnał nas i tylko widziałyśmy Go z okna, idącego z obstawą i wsiadającego do czarnego samochodu na ulicy. To było ostatnie nasze spojrzenie na Tatusia. Mama codziennie przynosiła dla Niego paczki do obozu na Radogoszczu – cały listopad i w mroźny grudzień – paczki brali, ale nie było żadnych wieści od Niego. Dopiero gryps, jaki Mama dostała pośrednio od kogoś z obozu, zawierał wiadomość, że Tatusia „nie ma w obozie i żeby (Mama) nie przychodziła więcej”. Wszelkie poszukiwania, również te po wojnie prowadzone przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, nie dały odpowiedzi, co z Tatusiem? Czy może żyje?



Ale gdyby żył, to by nas odszukał i zostałby z nami.

Kasztan

Naturalnie po aresztowaniu Tatusia zajęto się nami – najpierw część naszego mieszkania „zarekwirowano”, czyli zakazano nam korzystania z większości pokoi i z mebli tam znajdujących się. Wkrótce w ogóle zmuszono nas do opuszczenia mieszkania, zezwalając na wzięcie jedynie rzeczy osobistych i niektórych niezbędnych mebli. Udało nam się zabrać też fotele naszych Dziadków, te, na których siadali Rodzice, o czym wspominałam. Pamiętam, że nocą, ukradkiem przesunęłam do „naszej części mieszkania” przystawkę do tapczanu z gabinetu Tatusia, bo tapczan już „był nie nasz – zarekwirowany”. Również starczyło mi siły do „wykradzenia” z salonu piętrowej etażerki do kwiatów i niedużych porcelanowych cacek oraz pięknej stojącej lampy. Ma ona duży abażur jak parasol i batystową narzutę, a w środku pionu okrągły stolik, całość

zaś wykonana jest z drewna i przyozdobiona roślinnym wzorem. Lampę tę Tatusź kiedyś kupił dla Mamy na Targach w Poznaniu, będąc Komisarzem tych Targów. Te mebelki mam do dzisiaj, są drogie memu sercu i cieszą moje oczy...

No i zaczęła się nasza – moja z Mamą – znów tułaczka po cudzych kątach, czyli korzystanie z łaski znajomych, którzy mogli nas przygarnąć, a nasze meble czekały w piwnicach na lepsze dla nas czasy. A te długo nie nadchodziły, bo i po wojnie czasy okazały się niełaskawe – w PRL nie była przychylnie widziana dawna Tatusia działalność patriotyczna i społeczna, a i Mamy księżęce pochodzenie (z urodzenia księżniczka Światopołk-Mirska) też okazało się nie po „linii i na bazie” ówczesnych rządzących w naszej Ojczyźnie...

Tak więc nie było dla mnie pocieszenia, jak w tej bajce, co mi śpiewała Babcia, a życie toczyło się dalej. Moja dzielna Mama, która poprzednio o nic nie musiała się troszczyć, teraz zdała egzamin z najwyższą oceną! Sama borykała się z ciężką codziennością. Znikała Mamy cenna biżuteria, kosztowne stroje i wszystko to, co dało się spieniężyć albo wymienić na żywność. Gdy tego zabrakło, „towarem wymiennym” stały się Tatusia ubrania, długo przechowywane w nadziei, że wróci i będą mu potrzebne, ale nadzieja bladła z mijanymi latami. Nie mogę pominąć przejmującego smutku, jaki niedawno ogarnął mnie, gdy natrafi łem na Mamy mały kalendarzyk z 1939 roku. Były w nim sporadyczne zapisy, ale od 9 listopada (czwartku) – od dnia aresztowania Tatusia – codziennie notowała: „nie ma”, „nie ma”, „nie ma” i tak ... do ostatniego dnia grudnia! I Tatusia rzeczywiście już nie było – nawet wśród żywych! A myśmy wciąż wówczas czekały na niego... Jeszcze teraz, pisząc to czuję, jak łzy mi napływają do oczu...

Mama miała się różnych prac zarobkowych, ale z tym było gorzej, bo nie miała wyuczonego fachu, a i też odmawiano Jej zatrudnienia, nie tłumacząc się powodem. Ale mimo przeciwności losu Mama była pogodna, dowcipna, pełna energii i serdeczności dla innych, a mnie otaczała „podwójną” miłością. Piękna pozostała do późnych swych lat, elegancka mimo skromnego stroju i ciepło ją wspominam, z szacunkiem i dumą.

Nie doczekała się Mama prawdy o losie Tatusia, ale Jej imię – „Kira” – odkryło prawdę: bo właśnie to imię Mamy było wyryte na obrączce Tatusia, z którą zginął. Dopiero niedawno, tj w 2008 roku, natrafi ono w Łodzi na miejsce straceń 40 więźniów obozu w Radogoszczu i na ich spalone szczątki – ofiar niemieckiej akcji represyjnej przeciwko polskiej inteligencji w Łodzi, której dokonano 12 listopada 1939 roku. A wśród znalezionych szczątków również natrafi ono na kilka obrączek – w tym i na

obrączkę z imieniem Mamy i datą ślubu Rodziców! To umożliwiło zidentyfikowanie, że wśród ofiar rozstrzelanych był również i mój Tatuś!!!

Mój Ojciec – Tomasz Tadeusz Wilkoński, herbu Odrowąż – inżynier agronom – poseł na Sejm I kadencji II RP – Prezes Państwowego Banku Rolnego – Dyrektor Administracyjny Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych K. Scheiblera i L. Grohmana – odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Dannebrog z tytułem „Kommandor” nadanym przez króla Danii – działacz społeczny, współtwórca i realizator idei Kołek Rolniczych w Polsce – kochający i kochany mąż i ojciec – człowiek, który zginął z rąk oprawców !

W moim rozumieniu – miłość Rodziców jest silniejsza niż śmierć, a „Zmartwychwstała po 70 latach w ziemi” Obrączka Tatusia z imieniem mojej Mamy – jest tego dowodem.

